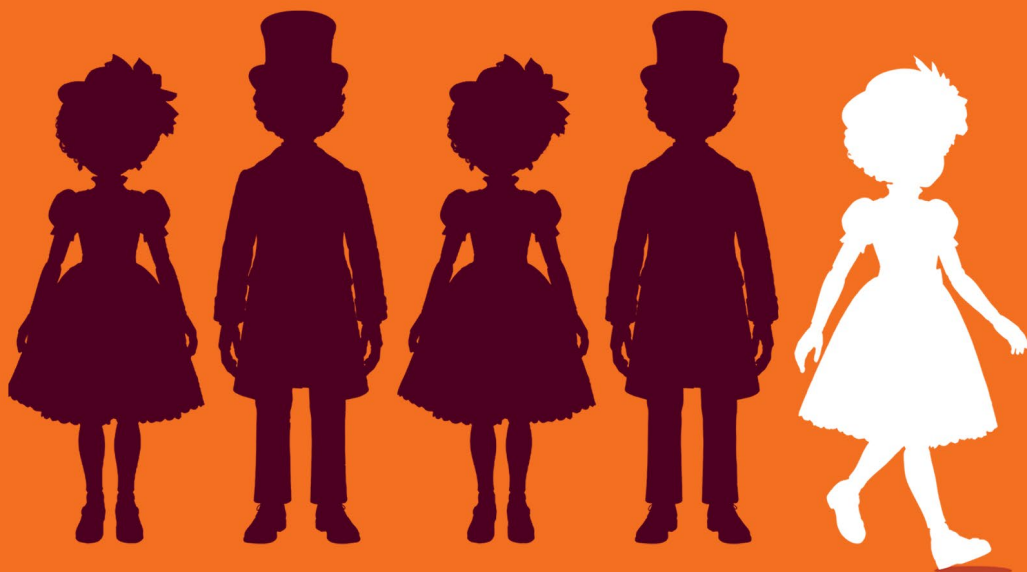


NIE-LALKA

NIEZALEŻNOŚĆ FINANSOWA ZMIENIA HISTORIĘ



Sylwia Chutnik

Sylwia Chutnik

„Lalka, której nie było”

1. Scena w mieszkaniu

Łęcki ciskał się w nocnym stroju między pokojami i złorzeczył, przestawiając krzesła

i drobne przedmioty.

– Czy ja zawsze muszę o wszystko prosić?!

Znowu okazało się, że nie może znaleźć koszuli, którą dzień wcześniej kazał oddać do praczki. Coraz częściej wpadał w gniew, uspokajał się dopiero przy lekturze, a i tak cisza trwała tylko chwilę. Poranek w mieszkaniu Łęckich zaczynał się więc zawsze od tych samych dźwięków. Przede wszystkim donośnego barytonu ojca, a potem, dla kontrastu, szelestu gazet, które czytał z uwagą, choć coraz rzadziej znajdował w nich wiadomości poprawiające mu humor. Czasami wpadał w złość również przy rozmowie, a wtedy ciskał trzymaną w dłoniach gazetą przez pół pokoju i mamrotał coś pod nosem. Był zniecierpliwiony, bo kolejni kontrahenci rezygnowali z obiecanych mu interesów. Zawsze tak jest: najpierw mydlenie oczu i obietnice bez pokrycia, a potem urywanie kontaktu, nedorzeczne wymówki. A pieniędzy jak nie było, tak nie ma i fakt ten coraz bardziej wpływał na całą rodzinę.

Łęcki nie chciał pozbywać się resztek majątku, ale powoli, niepostrzeżenie sprzedawał przez pośrednika co bardziej cenne przedmioty. Serwis do kawy (Gdzie on się podział? – dziwiła się krewna Florentyna. – Pewnie służąca znowu zbiła – odpowiadał wymijająco), czasem jakiś surdut. Zaraz jednak zarobione pieniądze przeznaczał na przyjęcia. Wydawało się, że tak bardzo cieszył go widok pieniędzy, że nie umiał się powstrzymać, aby się nimi nie pobawić. Brzęczał nimi w kieszeni, układał na stole, liczył, segregował. Podobnie z wekslami, które rozkładał niczym dzieła sztuki i oglądał godzinami. Ba, kiedy nikt nie patrzył, szeptał do nich czule i nadawał im imiona. I za nic w świecie nie chciał przyznać, że ma ich coraz mniej.

– Arystokracja nie jest biedna, nawet jeśli nie ma majątku –

powiadał z dumą. – Poza tym wszystko to wina okrutnych ludzi wokół – dodawał. – Zawistnicy, tylko by okradali uczciwych ludzi. Biedni zawsze zazdroszczą bogatym, którzy nigdy nie staną się biednymi, bo „to kwestia krwi” – perorował Łęcki przy porannej herbacie.

Służąca starała się nie wydawać żadnych dźwięków i chodziła najciszej, jak się da, aby nie dać argumentu do kolejnych sprzeczek i wybuchów gniewu. Córka natomiast coraz częściej prychała zniecierpliwiona wybuchami ojca. Wychowywana w duchu swobodnej dumy z serii: „dystygowanie i elegancja niezależnie od nastroju”, nie była w stanie znosić braku manier.

Zdawała sobie sprawę, że dawny przepych wymaga obecnie więcej oszczędności. Nigdy nie odważyłaby się jednak powiedzieć tego na głos, ponieważ zbyt lubiła pewność siebie. Dobra mina do złej gry, nawet w czterech ścianach. Wiedziała poza tym, że to ona, a nie awanturujący się papa, zapłaci największą cenę za próbę zachowania dotychczasowego stylu życia.

Zwykle rano milczała, więc przy śniadaniu dawała wygadać się ojcu, który prowadził monologi niczym sapiąca ciuchcia: rozpędzając się aż do krzyku i czerwoności na twarzy. – Zaraz się papa ugotuje od tych nerwów – próbowała go uspokoić, ale na nic zdawał się kojący ton i melisa na uspokojenie dosypywana do napojów. Ojciec był zły, a jak mężczyzna zły, to sobie musi pogadać, choćby do zasłon i bibelotów na komodzie.

Wysokie okna wpuszczały do salonu jasne światło, wydobywające z mebli ich dawną świetność i blask. Połączane ramy obrazów mieniły się dumnie, ale aksamit na fotelach miejscami stracił głębię koloru i w kilku miejscach był już wytarty. Izabela kładła na nich ręcznie wyszywane serwety, zgrabnie zasłaniając ubytki. Wszystko wyglądało tak, jakby dom usiłował pamiętać, w jakim stanie był przed laty. Podobnie jego domownicy: wyważeni i pewni siebie, jednak gdyby tak podrapać paznokciem po fasadzie, okazałoby się, że są przykurzeni i przerażeni tym, że ich splendor może stać się tylko wspomnieniem.

Oto i ona, młoda Łęcka, ponownie wyłoniła się ze swojej sypialni i szycowała do wyjścia przed wielkim lustrem w przedpokoj. Ojciec od

rana był w złym humorze i wydawało się, że prędko mu nie przejdzie. Gazety leżały porozrzucane na stoliku w salonie, obok korespondencji i rachunków, których od kilku dni ostentacyjnie nie otwierał. Czy on, do diaska, ma obowiązek zajmować się wszystkimi listami, co sobie ktoś postanowił do nich przesłać? Ciągłe tylko spłaty, raty, prośby i groźby. Przekładał kolejne strony z rosnącym zniecierpliwieniem, aż nagle zmarszczył brwi i odrzucił jedno z pism z wyraźną irytacją.

– Cóż za bałagan. Znowu się pomylił – fuknął. Podniósł czasopismo dwoma palcami, jakby było czymś podejrzanym. „Bluszcz. Pismo tygodniowe ilustrowane dla kobiet”, widniało na pierwszej stronie.

– Kto mi przysyła takie rzeczy? Czy ja wyglądam na damę znudzoną haftowaniem?! – awanturował się, jakby cały świat sprzysiągł się przeciwko niemu. Czemu nie może spokojnie poczytać, czy to takie trudne przesłać odpowiednie tytuły do porządnego domu, a nie buduaru dla kokot! Rzucił pismo na stolik tak niedbale, że kilka luźnych kartek wysunęło się spomiędzy stron.

– Proszę to zabrać. Tylko zagraca dom – zwrócił się do służącej i wyszedł z salonu, mamrocząc jeszcze coś o niekompetencji poczty oraz ogólnie upadku ludzkości. Izabela zbierała się do wyjścia, podeszła jednak odruchowo do stolika, żeby uporządkować rozsypane papiery. Odwróciła się w stronę służącej i wskazała jej bez słowa gazety. Wszystkie dziewczyny w jej wieku, które trafiały ze wsi na służbę do miasta, nazywane były Marysiami. Ale ta pracująca u Łeckich lubiła swoje prawdziwe imię – Aniela – i była z niego dumna. Stała teraz wyprostowana obok panny Izabeli.

– Słyszałaś chyba, żeby to wszystko uporządkować. Od rana nie prawie nie robisz. Myślisz, że tego nie widzę?

Aniela poruszyła się nieznacznie i, nie patrząc w oczy Izabeli, wyszeptwała:

– Nie dostałam jeszcze zapłaty za poprzedni miesiąc i nie będę mogła dłużej tu zostać.

– Słucham? – Łęcka miała świetny słuch, ale była zaskoczona wypowiedzią służącej. Właściwie chyba nigdy wcześniej nie słyszała,

aby ta wypowiedziała pełne zdanie, ciągle tylko „tak, jak sobie pani życzy.” A tu nagle bunt.

– Pan... powiedział, że nie ma mi z czego zapłacić, a ja muszę posyłać pieniądze matce i... od przyszłego poniedziałku idę na służbę do Toruńskich.

– Słucham?! – teraz Łęcka nie kryła już wściekłości. – Do tych złodziei? A niby skąd oni mają pieniądze na dodatkową służbę? No nic. Dopóki tu jesteś, musisz wywiązywać się ze swoich obowiązków. A mój ojciec z pewnością zaraz ci zapłaci. Przecież zawsze płacił.

– Bo kiedyś miał pieniądze, a teraz jest bankrutem.

Izabela, słysząc to słowo, którego nikt nie śmiał wypowiedzieć głośno, aż zamarła. Służąca wypowiedziała je bowiem tak zwyczajnie, a zarazem ostatecznie, że właściwie trudno było cokolwiek dodać. Bankructwo stało się faktem.

Łęcka usiadła bezwładnie na fotelu. A wtedy Aniela spojrzała na nią tak, jakby miała zamiar ją pocieszyć. Biedna pani, całe życie przyzwyczajona do zbytków, teraz będzie musiała zaznać biedy. Nawet nie była świadoma, że ten proces właściwie już się zaczął. Tylko o ile Aniela od urodzenia głodowała, o tyle Izabela nie była przyzwyczajona do takiego życia i będzie to dla niej szok. Może nawet nie znajdą żadnej innej służby, a kamienicę zlicytują za bezcen. Łęccy byli o krok od przytułku.

Aniela po raz kolejny spojrzała na Izabelę, a ta pochwyciła jej wzrok pełen współczucia. Zrozumiała wtedy, że to nie świat leży u jej stóp, ale ona leżeć będzie zaraz, błagając o litość. W jednej chwili opadła kurtyna iluzji, którą z trudem powstrzymywała. Zbladła.

– Tym bardziej muszę iść na to spotkanie – pomyślała i z trudem, ale wyuczoną dyscypliną i przekonaniem do tego, co należy robić, wstała i machinalnie podeszła do rozrzuconych gazet. Aniela tymczasem zniknęła cicho w kuchni.

Izabela miała odłożyć czasopismo na bok, ale jej wzrok zatrzymał się na nazwisku widniejącym nad jednym z artykułów: Eliza Orzeszkowa. Kojarzyła pisarkę – czytała jej powieść „Marta”. Pamiętała też, że ojciec mawiał o Orzeszkowej z lekkim pobłażaniem,

jak o autorce piszącej więcej o obowiązkach niż o samej literaturze.

Nigdy jednak nie czytała jej publicystyki, bo i gdzie. Bez większego namysłu wsunęła więc numer „Bluszczu” między karty książki, którą zamierzała zabrać ze sobą. Sama nie wiedziała dlaczego. Być może z przekory, bo ojciec uznał pismo za niewarte uwagi? Coraz częściej miała ochotę sprawdzać właśnie te rzeczy, które mężczyźni odrzucali z takim przekonaniem. – Co się ze mną dzieje? – pomyślała, ale czas ją gonił. Niewiele myśląc, poprawiła więc broszkę w sukience i poszła w stronę drzwi.

Łęcki, który stał od kilku chwil przy oknie w swoim gabinecie i patrzył zamyślony, odłożył filizankę, gdy usłyszał szelest sukni córki. Spytał ją, czy na długo się wybiera do miasta. Izabela zakładała właśnie rękawiczkę. Robiła to powoli, z uwagą, jakby każda czynność mogła odwlec rozmowę, która musiała w końcu nastąpić. Przytaknęła ojcu, a wtedy on zapytał ze słabo ukrywaną nadzieją w głosie:

– Do pana Wokulskiego?

Nie odpowiedziała od razu. Skinęła jedynie głową. W pokoju zapadła krótka cisza. Łęcki podszedł do córki i udawał, że strzepuje niewidzialne pyłki z jej ubrania. Ostatnimi czasy coraz częściej wydawał się zagubiony, krążył wzrokiem wokół, jakby szukając pomocy.

– To człowiek niezwykle zacny – powiedział, nie patrząc w oczy córce. – Nieczęsto los stawia na naszej drodze ludzi o takim charakterze... – i zabrzmiało to w jego ustach nieco pompadycznie. Chyba sam to zauważył, bo zmieszał się i odchrząknął.

Nie wspomniał nic o pieniądzach, zresztą nie musiał. Od miesięcy były obecne w każdym zdaniu, nawet wtedy, gdy nikt ich nie wypowiadał. Zalegały w powietrzu jak ciężkie zasłony, przez które światło przedostaje się z trudem.

– Jest ci życzliwy i ... – ojciec zawahał się. – Sądzę, że powinien otrzymać od ciebie jasną odpowiedź. Już czas, sama wiesz, że jeśli tak dalej pójdzie, to zlicytują nam wszystko.

Głos mu się załamał. Zazwyczaj udawał, że wszystko jest jak dotychczas, ale doskonale wiedział, że coraz trudniej jest grać zamożnych, kiedy w sejfie już dawno świecą pustki.

Izabela spuściła wzrok. „Jasna odpowiedź”. Jak niewiele ważyły te dwa słowa dla człowieka, który je wypowiadał, a jak ciężkie były dla tego, kto miał unieść ich konsekwencje. Najchętniej wdrapałaby się teraz na kolana taty i kazała zaprowadzić się do cukierni na pyszne ciastka. Jakby cała ta dorosłość była tylko złym snem, z którego można byłoby się obudzić i wrócić do beztroski. Ale trudno było, niczym w bajce, cofnąć wskazówki i stać się z powrotem dzieckiem. Czytała niedawno po angielsku powieść Lewisa Carrolla, gdzie dziewczynka wypijała odpowiednie syropy i wtedy rosła lub stawała się malutka jak mysz. Ach, żeby móc teraz wypić taki czarodziejski płyn i zniknąć!

Ojciec podszedł do niej bliżej. Widział, że cierpi i jest na skraju płaczu. Od kiedy pamiętał, widok podkówki na ustach sprawiał, że tracił wszelkie zahamowania i miał ochotę zrobić dosłownie wszystko, aby rozbawić córeczkę. Żeby tylko żadna łza nie potoczyła się po jej policzku!

– Dziecko, zrozum – zaczął łagodniej. – Nie jesteśmy już w położeniu, w którym można kierować się wyłącznie upodobaniem. Każdy z nas ponosi odpowiedzialność za nazwisko. Musisz być dzielna i rozsądna.

Izabela, słysząc to, odniosła nagle wrażenie, że przez całe życie była jedynie strażniczką rodzinnej pamięci i honoru. Nie zwyczajną córką, ale jakąś depozytariuszką kilku sylab zapisanych na wizytówkach i rodowym herbie. Przecież nie miała nawet wpływu na to, kim jest i skąd pochodzi! Wiedziała również, ile wynoszą długi, choć nikt nie pokazywał jej rachunków. Wystarczyło spojrzeć na malejącą liczbę służby i sreber, które znikwały z kredensu niczym kapiąca woda. Kap, kap, a łyżeczek coraz mniej. Rozmowy milkły, gdy wchodziła do pokoju i coraz mniej osób przychodziło z wizytą, bo i po co utrzymywać kontakty z tymi, którzy na tonącym statku poprawiają jeszcze sfatygowane cylindry i udają, że wszystko jest wspaniałe.

Rozumiała wiele, oprócz jednego. Dlaczego to właśnie ona miała stać się rozwiązaniem. Była przecież jeszcze taka młoda. Całe życie przed nią, a ona zamiast skupiać się na przyjemnościach, obarczana jest tak wielką odpowiedzialnością. Czy gdyby jej matka

żyła, to uchroniłaby córkę od zamążpójścia z rozsądku? „Mamo, co mam robić? Mamusi...” Schować się do kieszeni sukni i przespać całe to zamieszanie.

Ojciec położył dłoń na jej ramieniu.

– Nie każę ci go pokochać, to miły mężczyzna i tak o nim należy myśleć. Tylko tyle.

To zdanie zabolalo ją bardziej niż wszystkie poprzednie, bo było tak uczciwe i wyrażone bez żadnych zakłamań. Cóż, widocznie miłość okazała się rzeczą zbyt kosztowną, by rodzina mogła sobie na nią pozwolić. W tych czasach uczucie wydawało się jeszcze bardziej wymyślnym pragnieniem niż nowa kreacja na kolejny bal. Kogo byłoby stać na szeptanie czułych słówek, kiedy należy jak najszybciej spłacić wierzycieli coraz bardziej pozwalających sobie na niewybredne komentarze i zaczepki?

Ostatnio jeden z nich podszedł do Izabeli w kościele i zaczął – co prawda szeptem, ale kilka osób odwróciło się w jej stronę z ciekawionych – perorować na temat rzekomych długów ojca. Padło nawet przyrzeczenie, że jeśli natychmiast nie zostaną spłacone weksle, to zmuszony będzie wyzwać ojca na honorowy pojedynek. Jeszcze tego brakowało! Walczący ojczulek, który miał coraz większe problemy z chodzeniem (to pewnie od stresu), a teraz musiałby wymachiwać szablą. To absurdalne.

Teraz, kiedy stał tak przed nią, poczuła wzruszenie. Wiedziała, że kocha ją nad życie i nieba by uchylił swojej jedynaczce. Uśmiechnęła się więc do niego lekko, aby oszczędzić ojcu poczucia winy.

– Wrócisz na kolację? – dopytywał Tomasz Łęcki tonem pozornie neutralnym, ale chciał w nim zawrzeć wszystkie swoje uczucia: dumę, ale i wyrzut sumienia, z pewnością również głębokie uczucie, które żywił do swojej córki.

Znowu zadrżał mu głos. Pochyliła się nad nim, ucałowała go w czoło i wyszła. Dopiero kiedy zamknęły się za nią drzwi kamienicy, odetchnęła głęboko.

2. Podróż do miasta

Kilkanaście minut później siedziała już w dorożce jadącej na Krakowskie Przedmieście. Powóz kołysał się miarowo, konie stukwały kopytami o bruk, a ona, zamiast wyglądać przez okno, otworzyła „Bluszcz”. Początkowo czytała bez większego skupienia. Myślami była przy czekającym na nią Wokulskim, myślała również o ojcu i jego nadziejach.

Dopiero artykuł Orzeszkowej zatrzymał ją na dłużej. Autorka pisała o wychowaniu kobiet i twierdziła, że młodych dziewcząt uczy się wszystkiego oprócz tego, co pozwala samodzielnie żyć. Zachwyca się ich wdziękiem, ale zaniedbuje rozum. Największą krzywdą staje się dla nich nie tyle brak posagu, co brak zawodu, który mogłyby wykonywać, by być niezależne. Izabela przeczytała ten fragment dwa razy. Nie była jednak pewna, czy się z nim zgadza, a nawet, czy dobrze go rozumie. Przez całe życie nikt nie mówił o kobiecej pracy inaczej niż z odcieniem współczucia. Pracowały szwaczki, guwernantki, wdowy pozbawione majątku.

Całe Powiśle pełne było takich osób. Kiedyś widziała z okna dorożki, jak młodsza od niej dziewczyna, w widocznej ciąży i z małym dzieckiem przy nodze, wylewała do kanału przy chacie jakąś cuchnącą breję z wiadra. Resztki jedzenia rozbryzgały się wokół, mocząc jej fartuch. Ale ona nawet nie zwróciła na to uwagi, tylko wytarła dłonią zasmarkany nos dzieciaka i wróciła z powrotem do domu. Izabela pamiętała, że pomyślała wtedy, jak ważny jest adres i to, w której rodzinie przyszło nam się urodzić. A co, gdyby to ona była tą dziewczyną? Miałaby męża, urodziłaby bękarta? Czym by go karmiła i skąd miałaby pieniądze? A siłę na takie życie? Kobiety z jej świata nie pracowały, tylko dobrze wychodziły za mąż. Czy gdyby chciała zmienić swój los, musiałaby teraz iść do pracy albo sama opróżniać wiadro z nieczystościami, jak tamta dziewczyna? Automatycznie pokręciła głową.

A jednak zdanie z artykułu w gazecie nie chciało jej opuścić. Orzeszkowa pisała, że zależność nie jest prawdziwą naturą kobiety, tylko skutkiem jej wychowania i to dzięki niemu staje się istotą podległą. Kto właściwie ustalił, że to kobieta ma być zdobywana, a nie sama zdobywać? Jeśli nie chce być żoną, to czeka ją klasztor lub bycie pośmiewiskiem i ciężarem dla swojej rodziny. Małżeństwo to właściwie nie tylko praca, ale i obowiązek odpowiedzialnej kobiety.

Tylko kto to wymyślił i czy istniało jakieś inne wyjście?

Złożyła pismo i położyła je na kolanach. Nie potrafiła jeszcze powiedzieć, dlaczego te słowa wydały jej się ważne. Brzmiały obco, niemal zuchwale, ale przecież od chwili, gdy je przeczytała, zaczęły towarzyszyć jej jak cicho powtarzana melodia.

– Co się ze mną dzieje? – pomyślała. To przez nerwy i rozmowę z Wokulskim, którą przecież musi w końcu przeprowadzić. Oddech, najważniejsze to zachować spokój i nie rozpraszać się niepotrzebnymi sprawami.

Dorożka zwolniła przed skrzyżowaniem. Izabela podniosła wzrok znad gazety. Miała jechać na spotkanie z człowiekiem, który mógł uratować przyszłość jej rodziny. Po raz pierwszy przemknęła jej jednak przez głowę myśl, jeszcze niewyraźna i nieśmiała, że być może istnieje więcej niż jeden sposób na ocalenie własnego życia.

Zdenerwowało ją to i szybkim gestem, jakby chciała od siebie odpędzić natrętne myśli, machnęła ręką i potarła kark. Zawsze tak robiła, aby się uspokoić. Oddech.

Wysiadła po jakimś czasie i raz jeszcze poprawiła suknię. Powinna skrócić w stronę Krakowskiego Przedmieścia, a potem dalej iść ku sklepowi Wokulskiego, znała przecież drogę, którą nieraz pokonywała.

Przez chwilę rzeczywiście podążała we właściwym kierunku. Mijała znajome kamienice, powozy, eleganckie damy wracające z porannych zakupów. Każdy krok wydawał się przybliżać ją do rozmowy, której treść była z góry przewidziana. Wokulski będzie uprzejmy, ona będzie uprzejma. Będą ważyć słowa, jakby od ich ciężaru zależało coś więcej niż tylko ludzkie życie. Dobijanie targu jej

życiem, zaiste.

Na rogu ulicy zatrzymała się jednak. Nie, to jej nogi się zatrzymały, jak uparty koń, który nie chce iść dalej, mimo że zna trasę, a właściciel smaga go batem po gnatach. Izabela miała przed sobą kurs, który wyznaczili inni. Po prawej stronie czekał na nią mężczyzna, ale po lewej stronie otwierał się Nowy Świat. Spojrzała raz jeszcze przed siebie. – Co za piękna nazwa ulicy – pomyślała, dziwiąc się zarazem, że nie zwróciła na nią wcześniej uwagi. Zawahała się kolejny raz, w którą iść teraz stronę.

Wyobrazila sobie pana Wokulskiego. Zapewne przyszedł wcześniej, tacy jak on nigdy się nie spóźniali. Być może już nawet czekał, spacerując powoli przed sklepem. Co kilka chwil spoglądał na zegarek albo na przechodniów, wypatrując znajomej sylwetki. Wyobrazila sobie jego cierpliwość i tę szczególną mieszaninę niepewności i wiary, z jaką człowiek oczekuje kogoś, za kim tęskni, kogo kocha. Poczula ukłucie w sercu i wyrzut sumienia. Powinna już iść do niego i mieć to za sobą.

Czuła, jakby zza pleców widać było nie tylko ojca, ale i Florentynę, całą dalszą rodzinę, nawet nieżyjącą matkę. I powiększający się tłum ludzi, którym ojciec dłużny był pieniądze. Wszyscy patrzyli na nią z niepokojem, od niej zależało tak wiele. Niewidzialna fala napierała na jej plecy, popychała ją w stronę przeznaczenia. Jeszcze nic się nie stało, wystarczyłoby przejść kilka kroków i powiedzieć: tak. Nie roztrząsać, nie czytać artykułów w pisemkach i nie myśleć zbyt wiele. Była już w takim wieku, że zamążpójście było czymś logicznym. Miliony kobiet wychodzą za mąż z rozsądku, ona też może to zrobić. Kimże jest, aby się wywyższać?

Stop. Chwileczkę! Jest Izabelą Łęcką, wychowaną do bycia dumną z siebie i swojej rodziny. Właśnie, że ma prawo oczekiwać dla siebie lepszego losu, niż pierwszego lepszego ożenku, nawet za cenę kompletnego bankructwa!

Oddech. Nie no, koniec scen. Panno Izabelo, czas na rozsądne decyzje, w końcu po to wyszłaś z domu! Czekał na nią ojciec; na pewno chodził nerwowo po pokoju i wyglądał przez okno.

A jednak nogi pozostały nieruchome. Zrozumiała nagle, że od wielu miesięcy każdy jej krok był odpowiedzią na cudze oczekiwania. Chodziła tam, gdzie należało, i odwiedzała tych, do których kazano jej się uśmiechać. Jakby była lalką, którą ktoś prowadzi za sznurki. Ręka do góry, Izabela bije brawo, to znowu ręka w dół i Bella, ta nasza piękna i wyniosła Bella, rozdaje sierotkom resztki pieniędzy. Dobra pani, łaskawa pani – tak należy robić.

Teraz, na środku ulicy, poczuła, jak jej ciało jest coraz słabsze, jak brak jej tchu. Rozejrzała się wokół, ale nikt nie zwracał na nią uwagi. O tej porze ulice były gwarne i ruchliwe. Wszyscy biegli przed siebie i pogrążeni byli we własnych znojach.

Izabela nie pamiętała, czy kiedykolwiek w tym mieście choć raz wybrała drogę tylko dlatego, że sama chciała nią pójść. Tak po prostu. Jak niespieszny przechodzień, którego stać na zmarnowanie czasu, aby pójść w każde miejsce, w którym ma kaprys się znaleźć. A czy ona kiedykolwiek w ogóle chciała iść tam, gdzie ją poniosą nogi? Co miała robić w Warszawie oprócz tego, co robiły wszystkie kobiety w jej wieku i z jej pozycją?

Przestraszyła się po raz kolejny swoich myśli. Odwróciła się i poszła w przeciwnym kierunku, niż miała w planach. Nie mogła się zatrzymać, jakby znowu ktoś chwycił za sznurki i ją prowadził.

To była ona sama, a jej dłonie kierowały całym jej ciałem.

3. Spacer

Nowy Świat przyjął ją swoim zwykłym gwarem, jakby nie wydarzyło się nic szczególnego. Dorożki jechały dalej, gazeciarze nawoływali przechodniów, sklepikarze otwierali drzwi swoich lokali. Miasto nie wiedziało, że panna Łęcka właśnie nie przyszła na najważniejsze spotkanie swojego życia, a zarazem jest na najważniejszym spotkaniu: z samą sobą.

Tymczasem, zaledwie ulicę dalej, Stanisław Wokulski

rzeczywiście czekał przed swoim sklepem. Niecierpliwość nie była jego naturą, ale tego ranka zdarzało mu się spoglądać na zegarek częściej niż zwykle. Minęła umówiona godzina, potem kilka następnych minut i każdy stukot kół dorożki czy też kobieta wyłaniająca się z tłumu budziły w nim krótką nadzieję. Nie wiedział jeszcze, że ta, na którą czeka, zniknęła, po prostu zapadła się pod ziemię. Przynajmniej dla niego.

Warszawa była dziś księgą, której nie należy czytać od początku do końca, tylko otwierać na przypadkowych stronach. Miasto o tej porze dnia było już ożywione. Dorożki przesuwwały się jedna za drugą z jednostajnym łoskotem kół, sklepowe okiennice pozostawały szeroko otwarte, a przechodnie płynęli szerokim nurtem pomiędzy wystawami, nie zatrzymując się niemal nigdy. Miasto miało własny oddech. Kiedyś wydawało się Izabeli, że Warszawę tworzą jedynie ludzie podobni do niej, czyli właściciele pałaców, bywalcy salonów, panowie w cylindrach. Dziś coraz wyraźniej słyszała, że rytm stolicy nadają ci, których nazwisk raczej nie zapisuje się w gazetach. Zaczęła baczniej się im przyglądać. Nagle zaciekała się tym, jak wyglądają, co robią i czego szukają w mieście. Szła powoli, pozwalając spojrzeniu błądzić po twarzach ludzi, fasadach domów. Każdy z budynków zdawał się bowiem przechowywać więcej istnień, niż można było odgadnąć z ulicy. Jedne mówiły o bogactwie szerokimi bramami i balkonami z kutego żelaza, inne milczały prostymi murami, za którymi toczyło się życie pełne codziennego krzątania.

Przed okazałym gmachem zwanym Pałacem Hrabiów Małachowskich zwołniła kroku. Budowla zachowała całą powagę dawnej rezydencji, ale jej wnętrza przeznaczono na inny rodzaj wielkości. Mieścił się tam Zakład Świętej Marty, prowadzony pod opieką dam warszawskich. Wiedziała o nim z rozmów salonowych, ale dopiero teraz znalazła się blisko niego i zatrzymała, by przeczytać tablicę przy wejściu. Zakład dostarczał ubogim kobietom pracy: szycia bielizny, haftów, znakowania płótna i innych robót wykonywanych w domu i na miejscu.

Pamiętała, że kiedyś uczestniczyła w pewnym balu, gdzie

zbierano datki na te biedaczki. Długo patrzyła na otwarte okna pierwszego piętra. Przyszło jej do głowy, że o dobroczynności mówi się zwykle językiem liczb. Tyle kobiet objęto opieką, a znowuż tyle sztuk bielizny uszyto. Skrupulatne panie z towarzystwa wyliczały, ile rubli zebrano i wydano. Nikt jednak nie myślał o dłoniach pochylonych od świtu nad igłą i oczach psujących się od haftowania przy zimowym świetle. Nie wspomniano o marzeniach tych dziewcząt, które chciały być kimś innym, zanim nauczyły się zszywać cudze koszule. Może to właśnie taką dziewczynę widziała na Powiślu?

– Czy dobroczynność wystarcza – pomyślała Izabela – jeżeli człowiek pozostaje dla nas niewidzialny?

W salonach mówiło się o prowadzeniu takich miejsc z pewnym zadowoleniem, wręcz dumą. Warszawa pomagała ubogim, a damy spełniały obowiązek. Co innego miałyby w swoim życiu robić. Miasto miało czyste sumienie, ale ona zaczynała podejrzewać, że pomiędzy jałmużną a sprawiedliwością istnieje odległość większa niż między Nowym Światem a Powiślem.

Ruszyła dalej. Kilka kamienic później jej uwagę przyciągnął szyld wydawnictwa Samuela Lewentala. W tym samym domu mieściły się redakcje „Tygodnika Romansów i Powieści” oraz „Biblioteki Najcelniejszych Utworów”. Przez chwilę stała na chodniku, obserwując ludzi wchodzących po schodach. Korektor z plikiem odbitek pod pachą, zaraz za nim jakiś młody człowiek niosący paczkę papieru. No i chłopiec wybiegający z drukarni z rękami ubrudzonymi farbą. Pewnie inni w jego wieku i tak samo biedni sprzedają gazety na rogu, wykrzykując co bardziej ciekawe tytuły.

– Jak dziwnie wygląda miejsce, w którym powstają książki – pomyślała. Żadnej tajemnicy, poetów zapatrzonych w chmury i natchnionych pisarzy. Tylko zwykła robota: papier, atrament, pośpiech i ludzie pracujący tak samo jak stolarz czy szewc. Przez całe życie książki zjawiały się przed nią gotowe, oprawione w skórę i pachnące biblioteką. Czytywała je w domu, nie zastanawiając się właściwie, skąd się wzięły i kto je składał, poprawiał błędy, nosił ryzy papieru po stromych schodach. Literatura wydawała się czymś

oderwanym od świata, chociaż rodziła się przecież z bardzo zwyczajnej pracy.

Przeszła jeszcze kilka kroków, ale obraz drukarni nie chciał ustąpić miejsca innym. A może gdzieś za tymi murami ktoś właśnie kończył rozdział powieści, a kto inny decydował o tym, które zdania zostaną wydrukowane, a które znikną na zawsze. Czy można było zostać autorką własnego życia tak samo, jak zostaje się autorem książki? Po raz pierwszy pytanie wydało jej się ważniejsze od odpowiedzi. Pozwoliła sobie na niepewność, w końcu nikt nie będzie jej przepytawać z tego, co myśli.

Naprzeciw niej rozciągały się wystawy pełne przedmiotów sprowadzanych z zagranicy. W wielkim składzie hurtowym galanterii błyszcząły rękojeści lasek, szkatułki, wachlarze, porcelanowe figurki i dziesiątki drobiazgów, bez których ludzie z jej świata nie wyobrażali sobie codzienności.

Mijając zakład fryzjerski pana Adama Schulza, dawnego znajomego ojca, mimowolnie zwolniła kroku. Przez uchylone drzwi dobiegł ją gwar męskich głosów i znajoma woń wody kolońskiej oraz świeżo strzyżonych włosów. Pomyślała, że kiedyś musiała nadejść chwila, w której fryzjer zdecydował, że będzie pracował na własny rachunek. Schulz od lat rozwijał swój fach, z takim samym uporem, z jakim kiedyś wybrał szkołę i zawód, choć mógł przecież pójść inną drogą. Nie pił, nie palił, nie trwonil pieniędzy na przyjemności – jakby postanowił, że wszystko, co ma, zawdzięczać będzie własnej pracy i własnym decyzjom. Krzątał się teraz między fotelami, poprawiając ręczniki i ostrząc brzytwy, a jego zakład rósł razem z nim.

Izabela pomyślała nagle, że musi istnieć jakaś szczególna odwaga w takim życiu, kiedy samemu wybiera się zawód, otwiera drzwi własnego zakładu i ponosi konsekwencje każdej decyzji.

W szybach odbijał się ruch uliczny oraz jej zamyślona twarz. Zatrzymała się i przez chwilę patrzyła na własne odbicie. Kapelusz leżał idealnie, suknia układała się bez jednej zmarszczki, rękawiczki były nieskazitelnie jasne. Wyglądała jak niemy manekin przyozdobiony pięknymi strojami.

Nagle pomyślała, że całe jej dotychczasowe życie przypomina właśnie takie lustro, które odbija tylko cudze spojrzenia. Ojciec widział w niej ostatnią nadzieję rodziny, damy salonowe – wzór urody, a mężczyźni... wiadomo: przedmiot westchnień albo cel korzystnego mariażu. Nawet Wokulski patrzył na nią nie jak na kobietę, tylko jak na obietnicę szczęścia, którą można zdobyć, podobnie jak trofeum lub cenny przedmiot z zagranicznej podróży.

Kim właściwie była, kiedy nikt nie kierował na nią wzroku?

Odeszła od wystawy niemal zawstydzona własnym odbiciem. Dwóch czeladników wynosiło skrzynie z zaplecza magazynu. Przekupka poprawiała chustkę na głowie i śmiała się z czegoś, co powiedział woźnica. Młoda matka uspokajała płaczące dziecko, jednocześnie targując się o cenę kawałka materiału. Wszystkie te drobne sceny trwały zaledwie chwilę, po czym rozplywały się w ulicznym ruchu, jakby nigdy nie istniały. Pomyślała, że zmęczyły ją nie tyle kroki, ile nadmiar obrazów.

4. Kawiarnia

Obok stały niewielkie stoliki ustawione przed kawiarnią. Kelner właśnie rozkładał świeże obrusy, prostował krzesła i poprawiał filizanki. Zupełnie spontanicznie, jakby kierowana dziwną siłą, usiadła przy jednym ze stolików, odwracając się twarzą ku ulicy. Nie zamierzała tu długo zostać, właściwie sama już nie wiedziała, jakie ma plany. Czuła, jakby nie tyle uciekła przeznaczeniu, co zawiesiła swoje życie na kilka godzin.

A jednak po chwili wiedziała już, dlaczego się tu znalazła. Była niczym w teatrze, gdzie zamiast aktorów na scenie to Warszawa przesuwiała przed nią niekończące się opowieści. Izabela po raz pierwszy nie miała ochoty przerywać chwili własnymi myślami, chciała tylko patrzeć, aż miasto samo zacznie mówić.

Powietrze pachniało kurzem, kawą i końskim potem, a gwar ulicy mieszał się z pobrząkiwaniem naczyń. Warszawa trwała w swoim codziennym ruchu, jakby każda godzina była kolejną sceną przedstawienia, które odgrywano od lat bez żadnych zmian. Łęcka siedziała sama. Każdy, kto spojrzałby na nią przelotnie, uznałby zapewne, że na kogoś czeka. Kobieta siedząca samotnie w kawiarni zawsze zdawała się na kogoś czekać: na ojca, narzeczonego, brata albo męża. Niewiele osób przypuszczałoby, że można po prostu siedzieć i patrzeć. Skąd niby miałyby czas lub fundusze, aby trwonić je na kawę? Samotna panna zawsze rodziła zbyt wiele pytań i podejrzeń. Tymczasem ona czekała jedynie na chwilę, w której nikt nie będzie od niej niczego oczekiwał.

Kiedy usiadła w kawiarni, wciąż miała przed oczami daleki kościół Świętego Krzyża i tłum przesuwający się między dorożkami. Pamiętała zapach wosku, szmer modlitw, szelest sukien i ten szczególny rodzaj ożywienia, który pojawiał się zawsze tam, gdzie można było jednocześnie spełnić dobry uczynek i zostać zauważonym.

Wielkanocna kwesta u Karmelitów miała w sobie coś ze święta, ale również z przedstawienia. Znowu ten teatr. Damy podawały puszki, panowie wyjmowali portfele, ubodzy schylali głowy z wdzięcznością, a całe to wydarzenie układało się w obraz świata, w którym każdy znał swoją rolę. Izabela również znała swoją i spełniała ją od lat bez żadnej fałszywej nuty. Uśmiechała się, podawała rękę, przyjmowała pochwały i wrzucała pieniądze do puszek z miną osoby, która z lekkością dzieli się tym, co posiada.

Kilka osób powiedziało jej ojcu, że „panna Łęcka ma dobre serce.” To zdanie przyjęła wtedy z wdzięcznością, wydawało jej się, że to najpiękniejszy komplement, ale teraz, gdy siedziała samotnie przy stoliku, zaczęło ją uwierać. Przecież nie oddała niczego własnego, a pieniądze, które wrzuciła do puszek, pochodziły z tego samego domu, w którym od miesięcy ukrywano rachunki przed jej ojcem. Z tych samych szuflad, w których coraz częściej brakowało dawnych drobiazgów, majątku, który istniał już bardziej we wspomnieniach niż w rzeczywistości. Rozdawała dziś cudze pieniądze, udając bogatą.

Ta myśl nie była przyjemna, ale jednocześnie miała w sobie coś oczyszczającego. Po raz pierwszy spojrzała na własną hojność bez zasłony dobrych manier i rodzinnego nazwiska. Dobre serce? Łatwo podawać rękę innym, kiedy całe życie ktoś inny trzymał ją za ciebie.

Rozejrzała się po kawiarni. Przy sąsiednim stoliku siedziała kobieta z młodą dziewczyną. Nie wyróżniały się niczym szczególnym, nie miały pięknych sukien ani drogich kapeluszy. Rozmawiały cicho, niemal szeptem, a potem dziewczyna wyjęła z kieszeni kilka monet i położyła je na stole, licząc je z uwagą, jakby każda z nich miała znaczenie. Izabela patrzyła na ten zwyczajny gest dłużej, niż wypadało. Kilka drobnych monet i nikogo, kto później mógłby powiedzieć: „To dzięki mnie”.

Pomyślała o Wokulskim i jego pieniądzach, które potrafiły otwierać drzwi, kupować kamienie, pomagać biednym i rozwiązywać problemy, co dla innych wydawało się nie do pokonania. Przez długi czas postrzegała jego majątek jak coś niemal magicznego. Był przecież dowodem siły, przedsiębiorczości i jego sprytu. Wszyscy z szacunkiem podkreślali, że to dzięki ciężkiej pracy i mądrości życiowej Stanisław doszedł do takiej pozycji. Nie zastanawiała się nad tym, myślała tak, jak pozostali ludzie w jej otoczeniu. Ale może pieniądze miały również inną stronę.

Przez chwilę zamarzyła, że Wokulski sprzeda swój sklep i kupi dobra ziemskie, zachowując jednak stanowisko naczelnika spółki handlowej przynoszącej ogromne zyski. Wówczas cała arystokracja przyjmowałaby go u siebie, a ona... ona uczyniłaby go swoim powiernikiem. Tak! Nie mężem, ale asystentem i doradcą.

Podźwignęłaby majątek Łęckich i przywróciła mu dawną świetność, to jasne. Spełniałby przecież wszystkie jej życzenia i nie wahałby się narażać, ilekroć byłoby to potrzebne. W końcu odnalazłby dla niej męża godnego nazwiska Łęckich! Wszystko to czyniłby dlatego, że kochał ją miłością idealną, bardziej niż własne życie. Czułby się zupełnie szczęśliwy, gdyby obdarzyła go życzliwym uśmiechem lub łaskawym spojrzeniem, a po jakiejś wyjątkowej zasłudze nagrodziła serdecznym uściskiem dłoni. I oczywiście... zaprosiła na swój ślub, aby

mógł zobaczyć, jaka jest szczęśliwa.

W tym miejscu poczuła, że chyba zapędziła się w swoich wizjach i zrobiło jej się nieswojo. Znowu miałyby być zależna od Wokulskiego, nawet jeśli zajmowałby inną rolę

w jej życiu. On jest jakąś pułapką, sytuacją bez wyjścia!

Kelner przyniósł rachunek. Izabela sięgnęła do portmonetki i przez chwilę poczuła ten sam rodzaj niepewności, który pojawia się przy podejmowaniu decyzji pozornie nieważnych. Przecież chodziło tylko o zapłacenie za kawę, kilka monet. Cóż innego, jak tylko drobny wydatek, którego nikt nie zapamięta. A jednak tym razem chciała zrobić to sama. Wyjęła z namaszczeniem pieniądze i położyła je na spodku. Nikt nie zwrócił na to uwagi, a mimo to Izabela miała wrażenie, że wydarzyło się coś ważniejszego niż wszystkie pochwały, które kiedykolwiek usłyszała na salonach. Po raz pierwszy zapłaciła za coś własną decyzją. Była to niewielka suma – nie zmieniłaby losu rodziny i nie spłaciłaby długów. Nie uratowałaby nazwiska Łęckich i w ogóle nic takiego, ale przyglądała się monecie, jakby widziała ją po raz pierwszy. Należała do niej.

Spojrzała na ulicę, gdzie Warszawa przesuwiała się przed nią jak opowieść, której dotąd nikt nie pozwolił jej napisać. A ona po raz pierwszy pomyślała, że być może ma coś własnego, czym mogłaby się światu odwdziżyć.

Przed nią stała coraz bardziej zimna kawa. Powinna już iść, w końcu zapłaciła i należało powziąć jakieś decyzje, nie może tu przecież siedzieć w nieskończoność. Wzbudzi podejrzenia tym, że jest sama. Już nie mówiąc o tym, że przecież to wszystko gra na zwłokę, wiecznie tego ciągnąć nie można.

Od czasu do czasu podnosiła wzrok ku ulicy, myślała o tym, że gdyby rzeczywiście zjawił się przed nią Wokulski, należałoby z nim porozmawiać. O pieniądzach nie wspomniaby zapewne ani razu, a jednak byłyby obecne między nimi przy każdym zdaniu. O ojcu również nie trzeba byłoby mówić. Łęcki siedziałby przy tym stoliku niewidzialny, ale bardziej rzeczywisty niż oboje. Wszyscy wiedzieli, że wychodzenie za zakochanego bogacza to przede wszystkim racjonalny

krok w stronę ratowania prestiżu rodziny. Racjonalizm zwykle nie ma nic wspólnego z miłością, nie było sensu nikogo oszukiwać. Małżeństwo było już niemal postanowione przez innych, choć nikt nie wypowiedział jeszcze najważniejszych słów. Właściwie ona była już żoną... po co więc te rozmowy i ustalanie? Jak wiele rzeczy można przemilczeć, ale przecież mimo tego nie przestają istnieć. Uwierają w okolicy serca, nie dają swobodnie oddychać. Nagromadzone przez lata straszą w nocy jak złe duchy.

Spojrzała na ludzi płynących ulicą. Młody chłopiec sprzedawał gazety, ledwie wyższy od ich stosu. Dwie robotnice wracały z pracy z dłońmi zaczerwienionymi od zimnej wody i mydła. Elegancka dama wysiadła z powozu i niemal potrąciła dziewczynkę niosącą koszyk z jabłkami. Kilku studentów zatrzymało się przed księgarnią, spierając się o coś z przejęciem właściwym młodości.

Miasto wydawało się żyć własnym rytmem, zupełnie obojętnym wobec salonowych dramatów. Tam wszystko było już ustalone: kto z kim powinien rozmawiać, komu się uklonić, za kogo wyjść, czego nie wypada powiedzieć. Wobec tego teatru codzienności Izabela poczuła się nagle niewidoczna, ale odkrycie to wcale jej nie zmartwiło, przeciwnie: poczuła się wreszcie wolna. Skoro nikt nie zwraca uwagi na samotną kobietę w wielkim mieście, to może przecież zrobić ze swoim wolnym czasem, co tylko sobie zamarzy.

Zamówiła jeszcze herbatę. Nie miała siły wstać, czuła, jakby wrosła w krzesło. – Jeszcze trochę, jeszcze chwilę tu zostanę – przemknęło jej przez głowę. Pomyślała, że po powrocie do domu napisze o tym wszystkim do koleżanki z gimnazjum. Zawsze zwierzała jej się z rozterek i czuła zrozumienie dla swoich emocji. Moja droga... – na tych dwóch słowach w myślach zatrzymała się. Nie było sensu układać tego w głowie, przecież nie miała ze sobą papieru.

– Czy mogłabym pożyczyć kartkę i pióro? Jeśli byłby pan tak łaskaw – zwróciła się do kelnera.

Ten spojrzał na nią z dyskretnie skrywanym zdziwieniem, ale po chwili przyniósł cały arkusz papieru i obsadkę ze stalówką. Podziękowała krótkim skinieniem głowy. Zamoczyła pióro w atramencie.

Moja droga... – zaczęła znowu, ale odłożyła pióro. Nie, list to było za mało. Taka forma wymagałaby opowiedzenia jednego dnia, jakichś błahych przemyśleń, nic niewnoszących anegdot. Tymczasem w niej od dawna zbierało się coś znacznie większego. Słowa napływały z taką siłą, że przestawały mieścić się w formie korespondencji. Nagle poczuła, jak napierają na jej głowę pełne zdania, jak pęcznią jej w gardle. Niemal fizycznie odczuła dziwny niepokój i nadmiar myśli. Odchrząknęła, zakręciło jej się w głowie. Złapała pióro i zaczęła pospiesznie notować.

Była to jedna z tych kobiet...

Zatrzymała się i speszyła. Skąd znalazło się to dziwne zdanie i w ogóle co się z nią dziś dzieje?! Rozejrzała się wokół. Miała nadzieję, że nikt na nią nie patrzył, bo od razu rozniosłoby się po mieście, że panna Łęcka „niestosownie zachowywała się w lokalu, robiąc z siebie spektakl i publicznie pisząc nie wiadomo do kogo!”.

Natychmiast przekreśliła dopiero co napisane zdanie. Niepokój wzrastał. Obok woźnica mocno strzelił batem zbyt powolnego konia. Izabela spojrzała w oczy zwierzęcia i wydawało jej się przez chwilę, jakby i ono spojrzało na nią po ludzku, z wnikliwością i współczuciem.

Czuła, że kropelki potu zaczęły występować jej na czoło. – Chyba mam chorobę nerwową – pomyślała z przerażeniem i jednym haustem wypila przyniesioną herbatę, niemal parząc sobie gardło napojem.

Odetchnęła głośno i pochyliła spoconą twarz nad kartką. Drobnym pismem, które szkolone było latami do pisania bilecików i ozdobnych zaproszeń, zanotowała:

Nazywam się Izabela Łęcka. Mówiono o mnie, ale nie pozwalano mi nigdy powiedzieć czegoś o samej sobie.

Poczuła spokój, jakby przestała się bać. Kogo? Siebie.

Ulica zniknęła, nie słyszała już stukotu kół, nawoływań przekupek ani porcelany uderzającej o porcelanę. Jakaś dziwna cisza.

Atrament płynął po papierze szybciej, niż zdążyła układać zdania. Zapełniała drobnym pismem kolejne strony, a kiedy skończył się papier, wyjęła z torebki notesik do pisania bilecików. Zapełniała swoimi przemyśleniami wszystko, co miała pod ręką. Czuła, że to

dopiero początek.

Nie pisała już do koleżanki, tylko przeciw wszystkim opowieściom, które przez lata układano za jej plecami. Pisała o dziewczynie wychowanej pośród luster, która nigdy nie widziała własnej twarzy, o mieście oglądanym zza firanek powozu. Kreśliła portret kobiet, których nikt nie pytał o zdanie. Chciała też opowiedzieć o różnych szemranych miejscach w Warszawie, które miała odwiedzić bez opiekuna i o sztuce, która mogłaby być czymś więcej niż salonową ozdobą, o obowiązkach, które nie zawsze są cnotą.

Pisała również o pieniądzach, które potrafią zamienić człowieka w przedmiot i małżeństwie rozumianym jako transakcja bardziej sprytna niż najlepsza umowa kupiecka.

Może i o miłości też należałoby co nieco opowiedzieć, ale skąd wziąć miłość i jak

w ogóle ubrać ją w słowa?

Podniosła wzrok. Słońce powoli znikало za dachami kamienic, musiała siedzieć tu bardzo długo.

Przez chwilę wydawało jej się, że po drugiej stronie ulicy stoi Wokulski i przypatruje jej się ze zdumieniem. Być może nawet zjawi się w rzeczywistości, za chwilę spojrzy – tym razem tak, jak patrzy się na spełnienie marzenia.

Tylko że odpowiedź, po którą miał przyjść, była już gotowa.

Napisała ją teraz wyraźnie na kartce.

Nie.

Podkreśliła te trzy litery.

Po raz pierwszy od wielu lat zobaczyła przed sobą przyszłość, która zaczynała się od pustej kartki papieru, a nie od obrączki. Poczula, że jej los jest zdeterminowany przez decyzje mężczyzn, że jej całe życie jest jak historia, którą ktoś już napisał. Ktoś zdecydował za nią, kim będzie, za kogo wyjdzie i jak zostanie zapamiętana. Nikt nie usłyszał jej głosu, jej wersji życia. Poczula dławiący gniew. Jeszcze chwila, a zaczęłyby krzyczeć z wściekłości i niemocy.

Zanim zawołała kelnera, siedziała jeszcze długo z dłonią opartą na chłodnym brzegu filiżanki. Wypiła już wszystko, ale nie miała ochoty

zamawiać kolejnego napoju. Wystarczało jej to miejsce, z którego mogła patrzeć. Nigdy dotąd nie przyszło jej do głowy, że samo to zajęcie może być tak wyczerpujące. Warszawa zdawała się składać z kilku miast, które tylko przypadkiem używały tych samych ulic. Jedno należało do ludzi z powozów. Drugie do tych, którzy chodzili pieszo. Trzecie do przekupek, szwaczek, chłopców roznoszących gazety i tragarzy. Każde z nich mówiło innym językiem, miało własne godziny dnia i własne troski.

Z okien mieszkania Łęckich wszystkie zlewały się w jedną, odległą dekorację. Tutaj rozdzielały się przed jej oczami z zadziwiającą wyrazistością. Jakiś starzec usiadł na ławce naprzeciw kawiarni, zdjął kapelusz i długo ocierał czoło chustką, jakby cała droga od rogu ulicy kosztowała go zbyt wiele wysiłku. Chwilę później podbiegła do niego dziewczynka z kawałkiem chleba owiniętym w papier. Usiadła obok, nie odzywając się ani słowem. Wystarczyło, że byli razem.

Izabela pomyślała, że nie widziała dotychczas takich scen. To jasne, że słyszała o biedzie. Urządzała przecież dobroczynne bale dla ubogich, ale nie знаła obrazu biedy. Jak łatwo jest troszczyć się o ludzkość w teorii, kiedy nie trzeba zapamiętywać poszczególnych twarzy i historii realnego nieszczęścia.

Wiatr poruszył gałęziami młodych kasztanowców. Kilka liści zadrżało na wietrze i rzuciło na obrus cień przypominający pismo. Przyglądała im się przez chwilę, wyglądały jak litery alfabetu, którego jeszcze nie umiała czytać. Może dlatego zawsze wydawało jej się, że świat jest gotową księgą, napisaną przez mężczyzn dla mężczyzn: ojciec opowiadał jej historię rodu, nauczyciele historię Francji i Rzymu, a z kolei księża – historię zbawienia. Nawet plotki salonowe miały swoich autorów i swoich bohaterów. Kobiety najczęściej były w tych opowieściach nagrodą, przestrogą albo ozdobą, ale nie narratorkami czy głównymi bohaterkami.

Ta myśl nie pojawiła się nagle, tylko raczej od dawna krążyła wokół niej jak ptak, który szuka miejsca do lądowania.

Dziś po raz pierwszy usiadł spokojnie.

Czy naprawdę nie miała nic do powiedzenia? Jeżeli nie ona, to

kto opowie o chwilach, które nikogo nie obchodzą? O milczeniu przy śniadaniu, strachu przed kolejnym listem od wierzących. O tym, że córka zadłużonego arystokraty może bardziej bać się współczucia niż biedy, że można być podziwianą i jednocześnie niewidzialną.

Spojrzała raz jeszcze na ulicę... Gazeciarz biegł z naręczem wiadomości, których sam zapewne nigdy nie przeczyta, a młoda służąca śmiała się tak głośno, bo śmiech był jedyną rzeczą, której nikt nie mógł jej odebrać. Oficer zatrzymał się przy kwiaciarni i przez kilka minut wybierał jeden jedyny goździk z powagą człowieka podejmującego decyzję o własnym losie.

Izabela uświadomiła sobie, że od kilkunastu minut nie myśli o Wokulskim. To odkrycie zdumiało ją bardziej niż wszystko inne. Jeszcze rano wydawało się, że od tej jednej rozmowy zależy całe jej życie. Tymczasem ono, nie pytając jej o zgodę, toczyło się dalej.

Dorożki jechały, dzieci biegały między przechodniami. Miasto trwało. – Być może – pomyślała – właśnie dlatego jest mądrzejsze od ludzi. W tej samej chwili poczuła nagłe pragnienie, aby ocalić ten obraz od zapomnienia. Przecież za kilka lat nikt nie uwierzy, że Warszawa pachniała jednocześnie kawą, kurzem, końmi i kwitnącymi kasztanami, a na jednym chodniku mijali się bankier i szwaczka, hrabina i przekupka, student i żebrak.

Całe miasto było jak wielka powieść, w której każdy znał tylko własny rozdział. Nagle wydało jej się rzeczą nie do zniesienia, aby nikt tego wszystkiego nie zapisał. Tak, to również znajdzie się w jej książce.

Kiedy podniosła głowę znad ostatniej zapisanej kartki, słońce zdążyło przesunąć się na drugą stronę ulicy. Cień kasztanowców wydłużył się, gwar Nowego Świata zgęstniał, a stoliki wokół niej zdążyły wypełnić się i opustoszeć kilka razy. Nie pamiętała, kiedy przyniesiono jej drugą kawę. Nie pamiętała nawet, czy ją wypila. Przed nią leżał plik zapisanych kartek.

Podniosła się i wyszła na ulicę.

5. Decyzja. Wydawnictwo

Kiedy skręciła z powrotem ku Krakowskiemu Przedmieściu, ruch uliczny nieco się uspokoił. Szerokie fasady kamienic odbijały południowe światło, a między nimi wznosiły się gmachy, które wydawały się nagle wyższe niż zwykle.

Zawsze lubiła tę część miasta, znała ją na pamięć. Zapatrzyła się na gmach Uniwersytetu, zresztą nie po raz pierwszy. Od dziecka przejeżdżała tędy powozem, nieraz słyszała nazwę uczelni wypowiedzaną z szacunkiem przez ojca albo znajomych. Wiedziała, że wykładają tu uczeni, o których czytano w gazetach, że odbywają się odczyty, dysputy, egzaminy. Wszystko to należało do świata, który mijala od lat z odwróconą głową, nie zastanawiając się nawet, dlaczego nigdy nie przekracza jego bramy.

Dopiero teraz przyszło jej do głowy, że nigdy właściwie nie zadała tego pytania. Przy wejściu stało kilku młodych ludzi. Rozmawiali żywo, przerywali sobie, śmiali się, jeden z nich gestykulował tak zawzięcie, jakby od wyniku tej rozmowy zależały losy całej Europy. Pod pachami trzymali książki, niektóre już mocno sfatygowane. Żaden nie wyglądał na bogacza: jeden miał przetarte mankiety, drugi znoszony surdut, trzeci buty, które dawno należało oddać szewcowi. A jednak wszyscy sprawiali wrażenie szczęśliwych i beztroskich.

Poczuła ukłucie zazdrości o możliwość zdobywania wiedzy. Próbowала sobie przypomnieć, czego sama uczyła się przez ostatnie lata: francuskiego, angielskiego, oczywiście włoskiego (jej ojciec przecież kochał króla!), historii, ale tylko tej, którą wypadało znać dobrze wychowanej pannie. No i ręcznych robótek, muzyki (której nigdy naprawdę nie pokochała), a także nudnych, choć niezbędnych w jej położeniu, zasad prowadzenia konwersacji, sztuki siadania, wstawania, uśmiechania się, przyjmowania gości, odpowiadania na komplementy i ukrywania znudzenia.

– Jak wiele wysiłku potrzeba – pomyślała – żeby nauczyć kobietę, aby nie powiedziała zbyt wiele. Wyobraziła sobie na chwilę, że wchodzi przez bramę uniwersytecką. Sama, bez opieki ojca i bez wizji

kolejnej nudnej zabawy. Siada gdzieś z tyłu sali, otwiera zeszyt i słucha profesora mówiącego o historii sztuki albo astronomii. Po jakimś czasie pewnie nie wstydziłaby się zadać pytania, kiedy nie byłaby pewna tego, o czym mowa. Chciałaby, żeby ktoś na nie odpowiedział, bo mogłaby przed snem o tym myśleć i rozpamiętywać jakieś ważne zagadnienia.

Uśmiechnęła się do tego wyobrażenia. Było tak niedorzeczne, że niemal piękne. Dziewczęta z dobrych domów mogły znać języki, o ile pomagały prowadzić salon. Mogły malować akwarele, jeśli nie zamierzały zostać malarkami. Mogły grać na fortepianie, by umilić wieczór gościom. Wreszcie mogły czytać powieści, dopóki nie próbowały ich pisać. Wiedza była dla nich ozdobą, kolejną sukienką, której mogły zażądać i cieszyć się nią przez kilka chwil, a następnie wystroić i wieczorem odwieść na oparcie krzesła, skąd służąca zabierała ją do czyszczenia.

Spojrzała raz jeszcze na grupę studentów. Rozeszli się już w różne strony, każdy do własnych zajęć. – Jak dziwnie musi wyglądać dzień człowieka, którego obowiązkiem jest myślenie – zamyśliła się. U niej wszelkie refleksje były mocno ograniczone tematycznie. Na przykład za kilka tygodni należało pojawić się na kolejnych przyjęciach. Trzeba będzie dobrać odpowiednią kreację. Zatańczyć walca z właściwymi partnerami, uśmiechnąć się wtedy, kiedy wszyscy patrzą, rozmawiać o muzyce, której nikt naprawdę nie słuchał, o książkach, których większość nie przeczytała, o podróżach odbywanych wyłącznie po to, by mieć o czym wspominać zimą.

Nagle wydało jej się to wszystko niewiarygodnie męczące. Jeszcze niedawno bale wydawały się najważniejszym wydarzeniem tygodnia. Dziś przypominały przedstawienie grane bez końca przez aktorów, którzy dawno zapomnieli, dlaczego weszli na scenę. Pomyślała, że przez całe życie uczono ją, jak być podziwianą. I jakie książki wybierać, aby udawać obytą w towarzystwie. Ale jeśli pewnego dnia okaże się, że przeczytana książka nie odpowiada na najważniejsze pytania... wtedy być może będzie musiała napisać własną.

Kiedy znalazła się niedaleko Zamku, zmitygowała się i postanowiła wrócić. Przed kolumną czekało kilka dorożek.

– Dokąd, panienko? – zapytał woźnica. Już miała odpowiedzieć odruchowo: do sklepu pana Wokulskiego. Poczula krótkie ukłucie winy. Wiedziała, że zawiodła jego nadzieje. Ale czy mogła całe życie spełniać cudze? Spojrzała na rękopis trzymany na kolanach. Jeszcze przed godziną był tylko papierem, ale teraz był jedyną rzeczą, którą stworzyła sama. Nagle wpadła na tak diabelski pomysł, że aż klasnęła w dłonie i roześmiała się na cały głos.

– Do pana Lewentala! – rzuciła wesoło.

Woźnica skinął głową i konie ruszyły. Im bliżej wydawnictwa, tym bardziej śmiała wydawała jej się własna decyzja. Co właściwie zamierzała zrobić? Wejść do redakcji i oznajmić obcym mężczyznom, że napisała powieść? Mogli uznać, że bogata panna pomyliła literaturę z kolejnym salonowym kaprysem.

Nagle uświadomiła sobie, że przez całe życie najbardziej bała się śmieszności. To ona trzymała kobiety z dobrych domów w ryzach skuteczniej niż wszystkie konwenanse. O, niedoczekanie! Zrealizuje swój pomysł! Choćby mieli ją wyrzucić na ulicę i opłotkować od Lwowa do Paryża!

Powóz zatrzymał się przed kamienicą, którą mijala tego samego dnia podczas spaceru. W oknach redakcji wciąż paliło się światło. Ktoś pracował, ktoś robił korektę, ktoś składał kolejne strony do druku.

Pchnęła ciężkie drzwi i weszła pewnym krokiem. Na schodach minęła chłopca niosącego ryżę papieru i zecerów z rękami czarnymi od tuszu. Wszystko wyglądało bardziej jak warsztat niż świątynia sztuki... i właśnie to dodało jej odwagi. Przecież warsztat służy pracy, a skoro jest praca, może być i zwyczajny interes!

Gabinet redaktora i wydawcy tonął w półmroku. Za ciężkim, zawalonym papierami biurkiem siedział człowiek, którego twarz wyrażała rzadką mieszkankę znużenia i protekcyjnej pobłażliwości. Izabela od razu położyła zapisane kartki przed Lewentalem. Ten przyjrzał się leżącemu przed nim manuskryptowi, po czym przeniósł wzrok na kobietę.

– Moje uszanowanie, panno Izabelo – zaczął, wskazując dłonią krzesło naprzeciw niego. Po twarzy błąkał mu się uśmieszek, który

uważał zapewne za ojcowski. – Cóż za niecodzienna wizyta. Z czym pani do mnie przybywa?

– Chciałabym poprosić pana o wydanie tej powieści – wskazała na związane kartki.

– A czyj to rękopis? – przyjrzał się jej uważnie wydawca.

Jeszcze kilka godzin wcześniej odpowiedziałaby speszona: ojca, narzeczonego, znajomego, kogokolwiek. Tylko że teraz była już kimś innym i sama dla siebie stanowiła zaskoczenie.

Tym razem nie spuściła wzroku, nie zarumieniała się, tylko szybko odpowiedziała:

– Mój, to znaczy – podniosła nieco zachrypnięty z przejęcia głos – ja to napisałam.

Lewental podniósł teatralnie brwi.

– Proza? Nowela? Zapewne subtelne, salonowe obrazki o miłości i nieszczęśliwych westchnieniach. Damy z wyższych sfer miewają doprawdy urocze kaprysy. Obawiam się jednak, że brutalny rynek czytelniczy łaknie dziś czegoś zgoła innego. Prawdziwego życia, realizmu, a nie...

Izabela nawet nie drgnęła. Siedziała idealnie wyprostowana na niewygodnym, obitym rzemieniem krześle, nie zdjęła nawet koronkowej rękawiczki, gdy powolnym ruchem dłoni przesunęła rękopis bliżej wydawcy, na środek jego biurka. Miała poczucie, że coś w nią wstąpiło, jakiś demon, a może anioł stróż. Dość, że pewność siebie rosła w niej z każdą chwilą.

– Rozumiem pańską troskę o rynek – odezwała się, a jej głos, choć cichy, idealnie przeciął panujący w gabinecie szum maszyn drukarskich dochodzący z dolnego piętra. – Słyszałam jednak, że bywa on ostatnio wyjątkowo bezwzględny dla pana. Wierzyście z Banku Handlowego są dość niecierpliwi, czyż nie?

Wydawca drgnął. Uśmiezek zamienił się w złe ukrywany grymas.

– To zwykłe plotki, łaskawa pani. Interesy idą wspaniale, a konkurencja już sama nie wie, co wymyślać, aby nas oczernić.

– Proszę sobie oszczędzić trudów – przerwała mu ze słodkim,

niemal współczującym uśmiechem, który opanowała do perfekcji w czasie salonowych rozgrywek. – Moje źródła są niezwykle precyzyjne. Ale długi to przecież kwestia czasu i odpowiedniego kapitału. Znacznie bardziej niepokojący jest fakt, jak łatwo w dzisiejszych czasach stracić koncesję na druk.

Resztki fasadowej uprzejmości zniknęły.

– Co pani sugeruje? – zapytał ostrym głosem wydawca.

Izabela pochyliła się w jego stronę.

– Mój kuzyn, hrabia Kossakowski, objął właśnie kluczowe stanowisko przy Warszawskim Komitecie Cenzury – powiedziała szeptem, który brzmiał jednak jak świst gilotyny. – Podczas ostatniej kolacji wspominał, z jak wielką uwagą petersburskie władze przyglądają się pańskiemu pismu. Jeden mały błąd, jedna nieostrożna metafora w druku i pańska drukarnia mogłaby zostać zamknięta z dnia na dzień. Bez prawa do apelacji. Szkoda by było, gdyby pańskie życiowe dzieło legło w gruzach przez zwykłe niedopatrzenie cenzora.

Wydawca poczuł, jak krew odpływa mu z twarzy. Plamy potu wystąpiły na jego skroniach. Doskonale wiedział, jak działa system, gdzie jedno słowo wpływowego arystokraty w Petersburgu mogło go zniszczyć. Postanowił przejść do konkretów.

– To może inaczej. Czego pani żąda? – wykrztusił, nagle pozbawiony całej swojej wcześniejszej pewności siebie i beczelności.

Izabela oparła się wygodnie, poprawiając mankiet sukni. Cóż, skoro uczono ją osiągnięcia swoich celów poprzez delikatną perswazję, to czemu nie wykorzystać umiejętności, a nawet nieco ich podkręcić.

– Moje warunki są proste, szanowny panie. Wydanie w twardej oprawie, nakład pięciu tysięcy egzemplarzy na początek, dystrybucja w całej Kongresówce i Cesarstwie. Nazwisko na okładce: Izabela Łęcka. I, co oczywiste, pięćdziesiąt procent zysku ze sprzedaży. Prawnik dostarczy panu dokumenty jutro wieczorem, ale chcę pańskiego słowa i podpisu na tym brudnopisie już teraz, na wszelki wypadek.

Starła się brzmieć najbardziej beznamiętnie, ale i zasadniczo, jak tylko mogła.

Wydawca przełknął ślinę. Przez chwilę patrzył na nią ze

strachem, w którym tlił się jednak głęboki, mimowolny podziw. Nie mógł uwierzyć, że eteryczna pannica dyktowała mu właśnie warunki kapitulacji, i to bez możliwości odrzucenia.

– Dobrze – szepnęła, sięgając drżącą dłonią po pióro. – Niech tak będzie. Ale tylko ze względu na ogromny szacunek, jakim darzę pani ojca.

Zakręciło jej się w głowie. Tak więc może stawiać komuś warunki, czegoś oczekiwać? I to za swoją pracę? Spojrzała na rękopis, który leżał przed nią.

– Ciąg dalszy tekstu dostarczę za około dwa tygodnie, jeśli to nie problem.

– Wedle decyzji, szanowna pani. – Lewentalowi było już wszystko jedno. Wyda te nieszczęsne wypiski ze sztambucha i będzie miał spokój. Byleby uniknąć dodatkowych problemów, których i tak ma już bez liku.

Wychodząc na Nowy Świat miała wrażenie, że ulica wygląda inaczej, choć przecież nie zmienił się ani jeden dom. Wszystko jednak wirowało. Pomyślała o ojcu i rachunkach ukrywanych w szufladach, srebrach sprzedawanych po cichu. Całym tym sztafażu bogactwa, które przecież już nie istniało. Nawet przez chwilę pomyślała o Wokulskim, który był gotów zapłacić za jej przyszłość, wierząc, że w ten sposób zdobędzie jej zainteresowanie, może uczucie.

Tylko że zaraz jej myśli przeniosły się na przygotowany tekst. Przez chwilę wahała się, czy zdoła dokończyć powieść. Jej historia miałyby znaleźć się w książce... niewiarygodne! A co, jeśli nikomu się to nie spodoba? Co powie rodzina, znajomi? Czy to w ogóle wypada pisać pannie? Czy Eliza Orzeszkowa również czuła się taka podniecona, kiedy debiutowała? A może, och, może pozna ją osobiście?!

Tyle pytań, emocji.

Już dawno nie czuła się tak podekscytowana. Postanowiła od razu wrócić do domu

i kontynuować pisanie. Tylko co powie ojcu? Może skłamię, że Wokulski przełożył spotkanie ze względu na pilny wyjazd w interesach, a ona zagadała się z pewną panią, z którą omawiała bardzo ważną

kwestę na rzecz sierot. Tak, to brzmiało prawdopodobnie.

Po raz pierwszy od wielu miesięcy przyszłość Belli nie wyglądała jak małżeństwo, tylko jak konkretna i namacalna umowa wydawnicza na jej własną książkę. Nie była pewna, czy wszystko pójdzie zgodnie z jej planem, zagrała *va banque* i w każdej chwili karta mogła obrócić się przeciwko niej. Ale nie chciała o tym teraz myśleć.

Pierwotny gniew przerodził się w poczucie satysfakcji. Czy to nie wspaniale?

Dziewczyna uśmiechnęła się do swojego odbicia w witrynie i zawołała dorożkę.

Koniec

Jak wygląda historia Łęckiej, której rodzina nie skazała na bogate zamążpójście? Co dzieje się z Rzeckim, gdy wreszcie przestaje troszczyć się wyłącznie o cudze interesy?

W serii opowiadań „Nie-Lalka” Szczepan Twardoch, Sylwia Chutnik i Wojciech Chmielarz odpowiadają na te pytania. Po prawie 140 latach symbolicznie odcinamy sznurki i oddajemy bohaterom Prusa niezależność finansową oraz możliwość życia na własnych zasadach.

